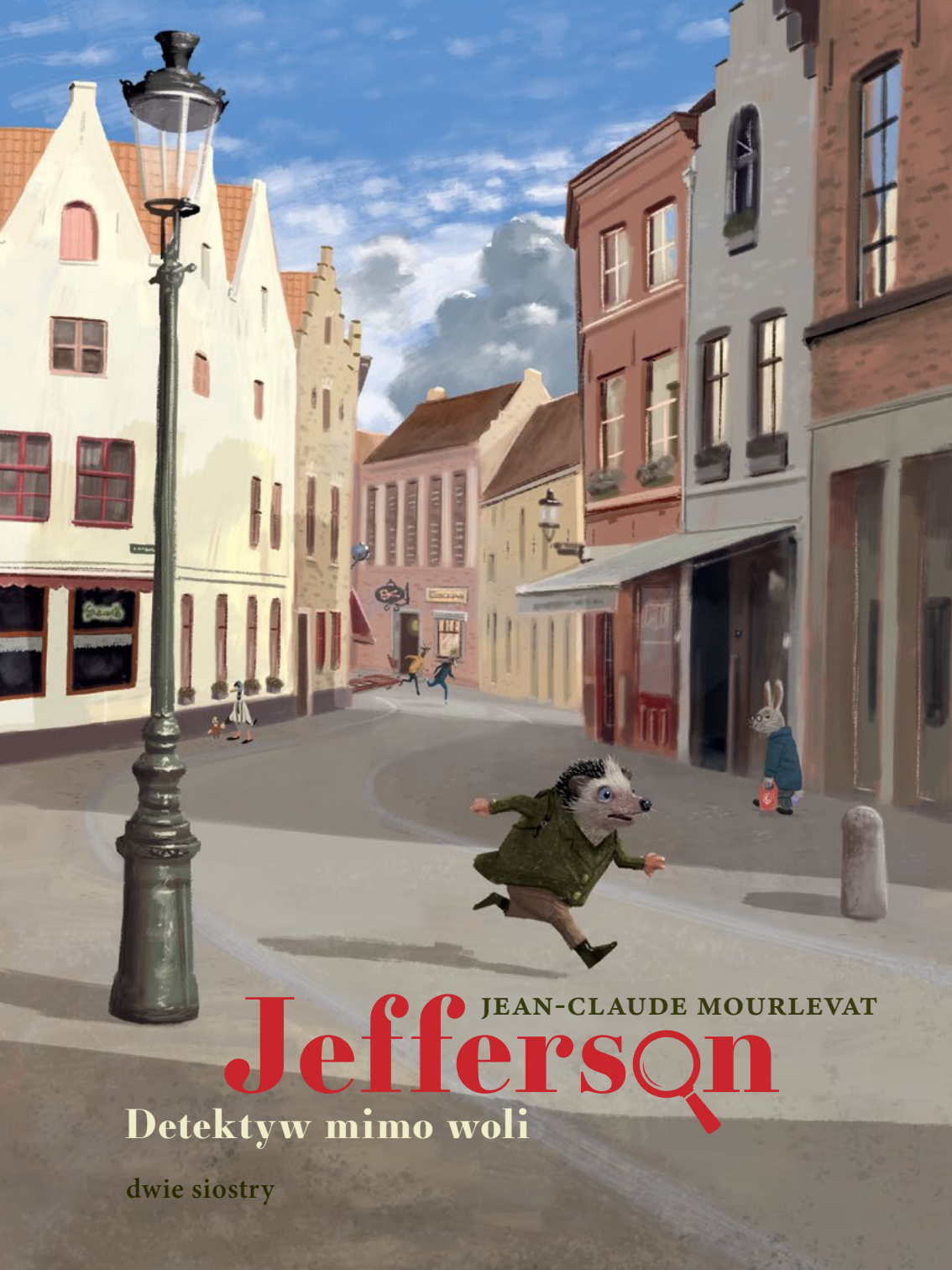

JEAN-CLAUDE MOURLEVAT

Jefferson

Detektyw mimo woli

dwie siostry

JEAN-CLAUDE MOURLEVAT

Jefferson

Detektyw mimo woli

ilustrował
Antoine Ronzon

z języka francuskiego przełożyła
Bożena Sęk

Wydawnictwo Dwie Siostry
Warszawa 2024

Cet ouvrage a bénéficié du soutien des Programmes
d'aide à la publication de l'Institut français.

Książkę wydano dzięki dofinansowaniu Instytutu Francuskiego
w ramach programów wsparcia wydawniczego.

Moim dzieciom, które otworzyły mi oczy.
jcm

Uwaga autora

Ta opowieść zaczyna się i kończy w krainie zamieszkanej przez zwierzęta, które chodzą na dwóch nogach, rozmawiają, mogą wypożyczać książki z biblioteki, zakochiwać się, wysyłać esemesy czy bywać u fryzjera. W sąsiedniej krainie żyją ludzie, najinteligentniejsze ze zwierząt.

1

Młody jeż Jefferson Bouchard de La Poterie skończył sprzątać mieszkanie, nucąc pod nosem: „Pam… pam, pam… pam, pam…", jak ktoś w doskonałym humorze. Kiedy wszystko zostało uporządkowane, miotełka wytrzepana za oknem, a szufelka zawieszona na gwoździu, nastawił piekarnik, by zapiekanka ziemniaczana ze śmietaną była gotowa w sam raz po jego powrocie. Następnie włożył i zapiął kurtkę, zauważając przy okazji, że nieco się marszczy na lekko wystającym brzuszku. Musi trochę przyhamować z ciastkami.

Skropił się perfumami Leśne Runo, przy drzwiach wyjściowych zawiązał wyglansowane buty, stawiając kolejno prawą, potem lewą nogę na służącym do tego taborecie, zarzucił plecak na ramiona i wyszedł. Tego ranka w znakomity humor wprawiał go drobiazg: postanowił mianowicie udać się do fryzjera. Podczas toalety bowiem rzuciło mu się w oczy, że ma bardzo

rozczochrany swój kolczasty czubek. A nie cierpiał wyglądać na zaniedbanego. I dlatego zdecydował: pójdzie do miasta na odświeżenie czubka!

Przy okazji chciał wstąpić do biblioteki, aby zwrócić książkę wypożyczoną w poprzednim tygodniu, powieść przygodową pod tytułem *Samotny na rzece*. Jej akcja rozgrywała się na rzece Orinoko, a bohater, niesamowicie odważny młody człowiek o imieniu Chuck, pokonywał wszelkie przeszkody. Samotność, głód, komary, Indianie, ulewne deszcze, obezwładniający skwar, dzikie zwierzęta… Ze wszystkim sobie radził.

Leżąc w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę, z parującym kubkiem herbatki ziołowej na stoliku nocnym, Jefferson wyobrażał sobie, że jest Chuckiem, i podczas czytania niekiedy przyłapywał się na tym, że zaciska pięści i szeroko otwiera oczy. W każdym razie dwie noce z rzędu powieść nie pozwoliła mu zasnąć do samego rana. Szczególnie spodobał mu się fragment, w którym Chuck, zagubiony w lesie, szuka drogi, stosując technikę gwiazdy. Polega ona na tym, że idzie się w jakąkolwiek stronę, pokonuje pięćdziesiąt kroków i jeśli nic się nie znajduje, wraca się do punktu wyjścia, aby spróbować w innym kierunku. Jeffersonowi bardzo się także podobała straszna scena, w której wygłodzony Chuck postanawia zabić swojego psa, aby go zjeść i dzięki temu przeżyć, w ostatniej chwili jednak ogarnia go litość, wybucha płaczem i oszczędza biednego zwierzaka. Czy-

tając o tym, Jefferson musiał wyjąć spod poduszki chusteczkę i wytrzeć oczy. W dalszej części opowieści pies się odwdzięcza, ratując Chuckowi życie. Tutaj Jefferson również się popłakał. Takie są zalety mieszkania w pojedynkę: można głośno śpiewać, fałszując, można chodzić nago, jeść, kiedy ma się ochotę, i płakać do woli.

Piękny był ten jesienny poranek. Jefferson zamknął drzwi na klucz, który schował do lewej kieszeni spodni, po czym z prawej wyjął telefon komórkowy i napisał taką oto wiadomość:

Drogi Gilbercie, nie przychodź przed południem. Jestem w mieście, idę do Rachu-Ciachu na odświeżenie czubka. Wrócę koło południa. Wstawiłem zapiekankę do piekarnika. Częstuj się, jeśli masz chęć… Na razie, stary!

I poszedł z radością w sercu. Czego więcej żądać od życia? Miał końskie zdrowie, dach nad głową, jedzenia pod dostatkiem, wspaniałego przyjaciela w osobie Gilberta i mieszkał w przeuroczym zakątku na skraju bukowego lasu.

Miasto było niedaleko. Wystarczyło pójść kilka minut wzdłuż drzew, potem stromą ścieżką obrośniętą krzewami porzeczkowymi i zaraz się dochodziło do szosy. Jefferson szedł raźno, mijając zakręt za zakrętem. Czy nadal był myślami z Chuckiem na brzegu Orinoko? A może przeciwnie – już sobie wyobrażał siebie w delikatnych rękach Karoliny, młodej pracownicy salonu fryzjerskiego, która przed strzyżeniem umyje mu głowę

szamponem? W każdym razie przeszedł przez jezdnię w niezbyt dogodnym miejscu, tuż za ciasnym zakrętem.

I wtedy od strony miasta nadjechał samochód pędzący z prędkością ponad stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jefferson zdążył tylko zauważyć, że były w nim dwie osoby. Za kierownicą siedział wysoki, bardzo chudy człowiek o wygolonej głowie. Tak wysoki, że wyglądał, jakby się poskładał, aby zmieścić się w kabinie. Pasażer, o wiele grubszy, miał włóczkową czapkę i opierał łokieć o drzwi. Kierowca przyhamował tak gwałtownie, że opony zawyły na asfalcie. Jefferson pisnął przeraźliwie, odskoczył i wpadł do przydrożnego rowu. Auto skręciło, a pasażer warknął przez otwarte okno coś, co zaczynało się od „ty głupi", potem było „jeżu" i kończyło się… no, określeniem, którego nie można tu powtórzyć.

– Sam jesteś głupi – mruknął Jefferson pod nosem.

Patrzył za samochodem, który przyspieszył i zniknął. Podniósł się z rowu, poprawił ubranie, pomacał przemoczoną pupę i zastanowił się, czy nie powinien pójść do domu, żeby się przebrać. Po chwili wahania stwierdził, że nie chce mu się zawracać. „Wyschnie na zwierzaku!", powiedział sobie. Najpierw wstąpi do biblioteki. Tym sposobem przed Karoliną stawi się suchy, żeby nie przyszło jej do głowy… nie wiadomo co. Pogrążony w myślach spostrzegł z niezadowoleniem, że jego łomoczące serce coś nie bardzo chce się uspokoić. Wypadek mocno go zdener-

wował. Tak niewiele brakowało, parę centymetrów i byłoby pa, pa, jeżyku! Takie właśnie jest życie: idziesz sobie lekki, wesolutki, beztroski i w pięć sekund wszystko się wali. „Szczęście jest bardzo kruche", stwierdził i zmusił się, by skierować uwagę na co innego.

Kiedy dotarł do miasta, prawie odzyskał dobry humor. Pogwizdując, przeszedł kawałek główną ulicą, po czym przy fontannie skręcił w lewo. W bibliotece miejskiej wszyscy dobrze go znali, kilka osób z obsługi pozdrowiło go wesołym: „Dzień dobry, Jeffersonie!".

– Podobała się? – zapytała bibliotekarka, miła kaczka w okularach ze szkłami w kształcie serduszek, gdy położył na ladzie *Samotnego na rzece*.

Przypomniał sobie, że to ona poleciła mu tę książkę.

– Czy mi się podobała? Nie! – zaczął, a widząc jej minę, czym prędzej podjął: – To za mało powiedziane, że mi się podobała. Za-ko-cha-łem się w niej. Bardzo dziękuję, że mi ją pani podsunęła. Polecę ją mojemu przyjacielowi Gilbertowi.

– Och, panie Jefferson, bo już się wystraszyłam – powiedziała zarumieniona bibliotekarka. – Ale i zdziwiłam, bo byłam pewna, że przygody Chucka przypadną panu do gustu. Może pan od razu zabrać książkę i przekazać przyjacielowi do rąk własnych.

Podziękował, pomyszkował chwilkę na półkach, po czym jakby nigdy nic przysiadł na skraju kaloryfera i zaczął przeglądać

czasopisma. Pół godziny później opuścił bibliotekę z *Samotnym na rzece* nadal w plecaku i z prawie suchą pupą.

Salon fryzjerski Rachu-Ciachu mieścił się na końcu tej samej ulicy. Był to skromny zakład w starym stylu, nie można było w nim przyjąć więcej niż troje klientów naraz. Edgar, właściciel, był spokojnym, dobrodusznym borsukiem, który w oczach – a raczej w uszach – Jeffersona miał cechę rzadko spotykaną i nieocenioną u fryzjera: potrafił strzyc w milczeniu.

Dlatego właśnie Jefferson od lat bywał w Rachu-Ciachu – miał pewność, że tam nie zaleje go potok słów. Poprawił teraz kurtkę, wypiął pierś, kilkakrotnie odetchnął głęboko i odchrząknął. A gdyby tak zaprosić Karolinę na drinka po pracy? Bardzo dobry pomysł. Znakomity nawet. Wykorzysta chwilę, gdy pan Edgar będzie na przykład rozmawiał przez telefon, i zagadnie: „A o której kończy pani pracę? Bo wie pani, tak sobie pomyślałem, znaczy pomyślałem sobie… w duchu, że tak powiem… że może…".

Karolina była siostrzenicą pana Edgara, który miał już swoje lata, dlatego zatrudnił ją do pomocy. Jefferson uwielbiał, kiedy miękkimi palcami rozprowadzała mu szampon po głowie i masowała ją w trakcie mycia. Przepadał za jej pytaniami, czy woda nie jest za ciepła albo za zimna. Jakakolwiek zresztą była, odpowiadał, że jest idealna. Karolina mogłaby go oblać wrzątkiem

lub obsypać lodem, a słowa by nie pisnął. Wygodnie ułożony na fotelu z nakładką podwyższającą z powodu niewysokiego wzrostu, przymykał oczy z rozkoszą i wyobrażał sobie, że Karolina jest jego narzeczoną. Ponieważ życie w pojedynkę, jak widzieliśmy, ma wiele zalet, ale czasami można się poczuć właśnie… trochę samotnym.

Zdumiał się, kiedy nacisnął klamkę, a drzwi nie chciały się otworzyć, chociaż migotał nad nimi szyld Rachu-Ciachu i metalowe rolety były podniesione. Próbował coś dojrzeć przez firankę. W salonie paliło się światło. Koza w szacownym wieku, z plastikowym czepkiem na głowie, drzemała pod wielkim kloszem podgrzewacza do trwałej ondulacji. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, tyle że nigdzie nie było widać fryzjera, pana Edgara, podobnie zresztą jak Karoliny. Jefferson zapukał w szybę i czekał chwilę. Znów zapukał, głośniej, ale nadal bez efektu, po czym przypomniawszy sobie, że jedno okno salonu wychodzi na podwórko, postanowił okrążyć budynek.

Okno z tyłu było otwarte, lecz wejście przez nie stanowiłoby wykroczenie, a Jefferson najbardziej ze wszystkiego nie lubił łamać prawa. Odkąd pamiętał, zawsze starał się postępować nienagannie – częściowo z obywatelskiego obowiązku, przede wszystkim jednak, trzeba przyznać, dla świętego spokoju. I dlatego wrócił teraz do wejścia, znowu zapukał w szybę, a ponieważ wciąż nie było odzewu, postanowił odejść.

Nie zaszedł jednak daleko, ponieważ zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia. A jeżeli tam się coś stało?… A jeżeli Karolinie coś grozi?… Na myśl, że mógłby się jakoś wykazać w oczach młodej borsuczki, zrobił nagle w tył zwrot. Dwie minuty później znowu stał pod otwartym oknem na tyłach budynku.

– Panie Edgarze!… Pani Karolino!… – wołał, lecz nikt się nie odzywał. W końcu więc zebrał się na odwagę i wspiął na okno, chociaż ryzykował rozdarcie kurtki.

Znalazł się w biurze zarzuconym stosami flakoników i pudełek: pianek, szamponów, odżywek do włosów. Docierały tam jedynie dźwięki lokalnego radia grającego w przyległym salonie. Ktoś trajkotał, namawiając słuchaczy, by natychmiast zadzwonili pod płatny numer, dzięki czemu z dużą dozą prawdopodobieństwa niczego nie wygrają. Jefferson postąpił naprzód i znów zawołał:

– Panie Edgarze!… Pani Karolino!… Tu Jefferson. Pozwoliłem sobie…

Koza spała w najlepsze pod kloszem podgrzewacza, rozchylone wargi odsłaniały nieskazitelne zęby, strużka śliny pomalutku spływała jej po brodzie. Minę miała błogą. Być może śniła o swoich prawnuczętach.

Jefferson obszedł pierwszy fotel obrotowy, pusty, i najpierw ujrzał dwa kremowe buty pana Edgara, których czubki celowały w sufit. Nie mógł się mylić: było to specjalne obuwie, które ów

poczciwiec chwalił codziennie, mówiąc, że czuje się w nim „jak w bamboszach". Po kolejnym kroku Jefferson odkrył dwie nogi wyciągnięte równolegle na podłodze, potem biały kitel starannie zapięty do samego dołu, a gdy spojrzał nieco dalej, dostrzegł duże nożyczki, których jedno ostrze całe tkwiło w tułowiu pana Edgara.

Krew rozlała się na kitlu dużą plamą, której kształt przypominał mapę Madagaskaru. Tuż nad nią – o ironio! – widniała wyhaftowana nazwa „Rachu-Ciachu".

Pan Edgar zdawał się spać jak jego klientka, tyle że nie śnił o żadnym koźlęciu. W ogóle o niczym już nie śnił. Był martwy. „Rachu-Ciachu i do piachu" – pomyślał Jefferson stosownie do okoliczności.

Do tej pory życie szczęśliwie oszczędzało Jeffersona. Nigdy jeszcze nie musiał stawić czoła tak silnym emocjom, toteż zareagował doprawdy spektakularnie. Najpierw zabrakło mu tchu, po czym wydał z siebie dziwny dźwięk, który zabrzmiał mniej więcej tak:

– Grrrruuughhh… grrrroooghhh!

Co miało znaczyć: „Kurczę blade! A to dopiero!".

Po czym ciągnął:

– Brrreeeejkkk frrreeehhhh!

Co można by przełożyć jako: „Zdaje się, że facet nie zszedł śmiercią naturalną. Według mnie został zwyczajnie zamordowany".

I zakończył długim żałosnym:

– Grrraaaahhhhhh!

Co znaczyło mniej więcej: „Co tu dużo gadać, widok nie jest miły!".

Następnie uczynił coś, czego w żadnym razie nie powinien był robić – ukląkł mianowicie przy zwłokach, szepnął: „Momencik, panie Edgarze, wyjmę to panu", ujął nożyczki prawą dłonią i wyszarpnął je z rany, dziwiąc się, że stawiają tak mocny opór. Wydaje się nam, że ostrze wbite w ciało da się wyjąć jak z kostki masła, tymczasem to błąd: ono przywiera do tkanek!

Tę właśnie chwilę śpiąca koza wybrała, aby się ocknąć ze słodkiego snu, i to, co zobaczyła – czyli zwłoki pana Edgara na podłodze i obok nich zbrodniarza z bronią w ręce – nie pozostawiało cienia wątpliwości. Szeroko rozwarła usta i krzyknęła tak przeraźliwie, że pękło małe okrągłe lusterko:

– Iiiiiiiiii! Ratunku! Iiiiiiiiii! Morderca!

Jefferson upuścił nożyczki.

– Ależ nie, proszę pani, to nie ja! Ja wszedłem i…

Nie pozwoliła mu dokończyć, rozwrzeszczała się na całego, aż widać jej było migdałki:

– Zabił pana Edgara! Mnie też zabije! Iiiiiiiiiiiii!

Jefferson złożył ręce.

– Ależ nie, proszę pani, przysięgam…

Tytuł oryginału: *Jefferson*
© Copyright for the text and illustrations by Gallimard Jeunesse, 2018
© Copyright for the cover illustration by Martijn van der Linden and Lannoo Publishers
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dwie Siostry, Warszawa 2024
© Copyright for the Polish translation by Bożena Sęk, 2024

ISBN 978-83-8150-652-6
wydanie I

wydawnictwodwiesiostry.pl

ilustracje: Antoine Ronzon
ilustracja na pierwszej stronie okładki: Martijn van der Linden
redakcja: Dominika Cieśla-Szymańska
korekta: Małgorzata Kuśnierz, Beata Wójcik
konwersja do formatu ePub 3: eLitera s.c.

Wydawnictwo Dwie Siostry sp. z o.o.
ul. Stefana Jaracza 2
00-378 Warszawa

Ta książka jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw, jakie im przysługują.
Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym.
Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści
i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Biblioteki, szkoły, przedszkola, księgarnie i inne instytucje zainteresowane ofertą specjalną zachęcamy
do kontaktu z działem handlowym (marketing@wydawnictwodwiesiostry.pl, +48 577 888 278).